

– Skąd to... – urwała w połowie. Nie musiała wiedzieć wszystkiego. – Może po prostu nic takiego nie miała?

– Była bardzo zapracowaną kobietą, uczestniczyła w wielu biznesowych spotkaniach, miała pod sobą kilkudziesięciu pracowników. Musiała gdzieś wszystko zapisywać.

– Racja. No, chyba że miała tak świetną pamięć jak ty.

Marta zmrużyła oczy, jakby miało jej to pomóc w dostrzeżeniu choćby cienia uśmiechu na twarzy policjanta.

– Dziękuję za pomoc. Wiem, że ta praca jest całym twoim światem.

Dostrzegł, że coś się w niej zmieniło.

– No właśnie.

Wstał już z krzesła i podszedł bliżej. Czuł, że powinien położyć dłoń na jej ramieniu. Tak robią przecież ludzie, którzy się przyjaźnią. Ale czy oni byli przyjaciółmi?

– W laboratorium pracują sami fachowcy. Uczyli się od najlepszej. Warto czasem dać im wolną rękę.

Uśmiechnęła się smutno, ale po chwili jej spojrzenie się ożywiło. Wyszedł, zastanawiając się, czy to, co przed chwilą powiedział, było przyjacielską poradą. Bo jeśli tak, doktor Felczak będzie z niego dumny.

– Umówiona?

– Pan chyba żartuje. To sprawa życia i śmierci!

Jan wyszedł z laboratorium, lecz nie mógł przejść dalej, gdyż drogę torował barczysty mężczyzna w białym fartuchu.

– Chciałbym przejść – powiedział do niego oschle.

Mężczyzna zrobił krok w bok, nie tracąc czujności i upewniając się, że kobieta, która przed nim stoi, nie zdoła pchnąć drzwi i wejść do środka.

Jan wyminał pracownika laboratorium i już miał iść dalej, gdy coś go tknęło. Zatrzymał się i zerknął przez ramię. To

była dziwna scena. Do laboratorium usiłowała dostać się kobieta trzymająca zawinięty w ciemną folię, sporej wielkości pakunek o nieregularnych kształtach. Towarzyszył jej ksiądz.

– Nie można ot tak wejść do policyjnego laboratorium! – Mężczyzna nie ustępował.

– Dobrze. Proponuję tak. Niech pan wejdzie tam sam i przekaże pani Helczer, że przyszła do niej Rita Templer. – Kobieta mówiła ciszej, ale głos wciąż drżał jej ze zdenerwowania.

Mężczyzna w białym kitlu spojrzał podejrzliwie, ale po chwili skinął głową i wsunął w czytnik kartę magnetyczną zawieszoną na szyi. Był na progu, gdy Rita Templer staranowała drzwi i z impetem wpadła do środka. Towarzyszący jej ksiądz złapał się za głowę i ruszył za nią. Drzwi zamknęły się, a Jan stał nieruchomo, wpatrując się w mleczną szybę z napisem LABORATORIUM TECHNIKI KRYMINALISTYCZNEJ. NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Usłyszał krzyk kobiety, prędko włożył swoją kartę do czytnika i wbiegł do środka.

– Oszalał pan?! – Mężczyzna w kitlu trzymał kobietę za rękę. Ta była od niego o połowę mniejsza, a mimo to wyglądała na gotową do walki niczym rozjuszony zwierzę. – Jeszcze raz mnie pan tknie, a tę lampę rozwalę na pana głowie.

– Rito... – Ksiądz, zakłopotany, położył dłoń na ramieniu kobiety i lekko przyciągnął ją do siebie.

Drzwi do głównego pomieszczenia laboratorium rozsunęły się. Stanęła w nich Marta Helczer. Drobna, przygarbiona, miała wypisane na twarzy: Kto śmie mi przerywać? Nagle jednak coś się zmieniło i jej oczy radośnie błysnęły.

– Rita! – Klasnęła w dłonie niczym podekscytowane dziecko. Gdyby nie pakunek, wpadłyby sobie w ramiona. – Co tu robisz? Nie widziałyśmy się kupę lat!

– Chciałabym powiedzieć, że się stęskniłam i wpadłam w odwiedziny, ale mam bardziej prozaiczny powód. Potrzebuję twojej pomocy.

Kobieta ostrożnie odwinęła czarną folię. Oczom wszystkim ukazała się stara lampa z abażurem. Marta spojrzała na lampę, następnie na kobietę i znów na lampę. Wyglądała na zupełnie zdezorientowaną.

– Wejdźmy do środka – powiedział Jan i wszystkie pary oczu skierowały się na niego.

Stał przy wejściu do głównego pomieszczenia laboratorium, świątyni Marty Helcer.

– Pan nie będzie potrzebny – zwrócił się do młodego mężczyzny w kitlu, który ruszył w jego stronę.

Gdy Marta i kobieta z księdzem weszli do środka, włożył kartę do czytnika i zostawił ją tam, blokując tym samym drzwi.

Rita Templer postawiła lampę na solidnym stole obok mikroskopu. Ta wygadana kobieta nie miała teraz nic do powiedzenia. Jan miał wrażenie, że słyszy bicie jej serca. Sam miał przyspieszony puls.

– Wygląda całkiem autentycznie – powiedziała Marta, po chwili wyciągając z szuflady szkło powiększające. Po dokładnej obserwacji włożyła lateksowe rękawiczki i uniosła lampę tak, by zajrzeć pod spód. – Bardzo autentycznie – dodała cicho.

– Skąd ją macie? – Jan skierował pytanie do kobiety stojącej u boku księdza.

– A pan...

– Jan Berent, jestem policjantem.

– Mhm.

– A pani?

– Rita Templer. – Chciała coś dodać, ale ugryzła się w język. Bo co miała powiedzieć? Że do niedawna była reporterką wojenną, a teraz robi to, co łaskawie zlecą jej ci, którzy jeszcze się od niej nie odwrócili?

– Ja nazywam się Antoni Kalebko i jestem proboszczem parafii świętego Józefa – wtrącił ksiądz.

Jan zlustrował wzrokiem wysokiego, kościstego mężczyźną w sutannie. Miękki, ciepły głos zupełnie nie pasował do człowieka-patyczaka. Głęboko zapadnięte oczy, wystające kości policzkowe i długi, orli nos, nadawały mu niezwykle surowego wyrazu.

– Moja gosposia znalazła tę lampę wśród rzeczy przekazanych przez parafian dla bezdomnych. Ludzie przynoszą odzież i żywność do przedsionka w kościele. Rzeczy są następnie segregowane w zakrystii. Nie wszystko nadaje się do przekazania i tak było z lampą. Gosposia uznała więc, że jako wielbiciel antyków, będę nią zachwycony, i postawiła ją w pokoju gościnnym na plebanii podczas mojej nieobecności. Kiedy ją zobaczyłem... – Ksiądz nagle zamilkł, oczy naszły mu mgłą. – Wygląda dokładnie tak, jak ją opisywano. Zadzwoniłem więc po Ritę. Jest dziennikarką i historykiem z zawodu, specjalizującą się w drugiej wojnie światowej.

– I co pani o tym sądzi? – Jan zwrócił się do kobiety.

– Rzeczywiście, wygląda bardzo autentycznie. Jednak dopóki nie przeprowadzimy specjalistycznych badań, nie możemy mieć pewności. Niemal identyczną lampę znaleziono kilka lat temu w Nowym Orleanie po uderzeniu huraganu Katrina. Władze zaapelowały do mieszkańców o wystawienie przed domy zniszczonych rzeczy. Wśród nich znalazła się właśnie lampka, która wpadła w oko pewnemu złodziejaskowi. Ostatecznie trafiła w ręce dziennikarza „New York Magazine”, który postanowił sprawdzić jej autentyczność. Kilkuletnie śledztwo dziennikarskie, poparte badaniami DNA, po wielu sprzecznych informacjach wykazało, że abażur został wykonany z krowiej skóry. A to oznacza, że do dziś nie znaleziono oryginału, mogącego potwierdzić, że niechlubnie osławiona strażniczka obozu w Buchenwaldzie Ilse Koch, nakazywała produkcję lamp wykonanych ze skóry Żydów. – Rita Templer podeszła do lampy i palcem wskazała nieregularny ścieg. – Wątpliwości wzbudza we mnie to dość

niedbałe przeszycie wykonane czarną, połyskującą nicią, która wygląda mi na współczesny wyrób. Poza tym stelaż lampy jest z drewna, a abażury z ludzkiej skóry, jak podają źródła, mocowano na stali.

– A co z tatuażami? Podobno Ilse Koch upatrywała sobie więźniów mających ciekawe tatuaże.

– Proszę się przyjrzeć.

Marta podała Janowi szkło powiększające.

Jego oczom ukazały się cztery różne, zamazane wzory rozmieszczone na abażurze. Tylko jeden z nich był czytelny, jakby nietknięty zębem czasu.

Rita Templer chwyciła lampę u nasady i odwróciła ją.

– To jest właśnie ta część, która wydaje się świeżo doszyta.

– Czy to chińska litera? – spytała Marta Helcer. – Rzeczywiście wygląda dość współcześnie.

– Niebo – odparł Jan i widząc zdziwione spojrzenia, dodał szybko: – Ten znak jest rzeczywiście chiński. Oznacza niebo.

– Nie sądziłam, że znasz alfabet chiński.

– Nie znam, ale wiem, co Bianka KostECKa miała wytatuowane na szyi.

18 września 1986 roku

Mówi się, że prawdziwy mężczyzna zawsze ponosi konsekwencje swoich decyzji. Nie wiem, czy mój ojciec kiedykolwiek to słyszał. Szczerze w to wątpię. Ten stary dureń do końca swoich dni uważał, że postępował dobrze. Zgodnie ze swoim sumieniem, choć chyba sam do końca nie był pewien, czy w ogóle je ma. Co by jednak było, gdyby żałował? Czy kiedy człowiek prosi o rozgrzeszenie w chwili śmierci, Bóg wybacza mu wszystko? Ot tak, zapomina o całym złu, jakie wyrządził innym przez całe swoje życie? No cóż, nie ma to już większego

znaczenia, bo ojciec nigdy nie prosił o rozgrzeszenie i do końca swoich dni uważał, że był prawym człowiekiem.

Moralność. Czy istnieje bardziej wieloznaczne słowo?

Kiedy Estera wyznała, że jest w ciąży, nie zareagowałem jak mężczyzna ponoszący konsekwencje swoich decyzji. Czuję się okropnie, gdy przypominam sobie moje pierwsze słowa wypowiedziane po tym wyznaniu:

– Czy ktoś już wie?

Spojrzała na mnie tymi wielkimi, czarnymi oczami, w których tak szybko pojawiały się łzy. To, co powiedziałem później, nie miało już znaczenia. Nie docierało do niej, że uznam dziecko. Jak mantrę powtarzałem jej, że pokocham je i przekażę mu wartości, jakich mnie nigdy nie przekazał ojciec.

– Jesteś pewien? – spytała przerażona, ujmując moją zimną jak lód dłoń. – To oznacza, że będziesz musiał powiedzieć prawdę ojcu. O nas.

– Tak, czas najwyższy.

Pamiętam, że wtedy zadrżała.

Była czternasta, gdy Jan wyszedł z laboratorium techniki kryminalistycznej i zadzwonił do biura naczelnika.

– Pan Potocki? – Dziewczyna o nadzwyczaj młodym głosie zdziwiła się. Musiała być nowa, może odbywała staż. – Nie zjawiał się w pracy, kadrowa nie mogła się z nim skontaktować.

Jan rozłączył się i z listy kontaktów wybrał telefon komórkowy.

Minęło sześć długich sygnałów, po czym automatyczna sekretarka poinformowała, że abonent nie może w tej chwili odebrać telefonu lub znajduje się poza zasięgiem.

Wybrał kolejny numer.

– Proszę mnie połączyć z komendantem.

Franciszka Mikołajczyk, sekretarka z dwudziestoletnim stażem, każdego dnia przyjmowała przynajmniej kilkanaście takich próśb. Jej odpowiedź zawsze brzmiała tak samo:

– Był pan umówiony?

– Nie, to sprawa służbowa. Bardzo ważna sprawa.

Przysiągłby, że usłyszał drwiące prychnięcie.

– Nie wątpię, panie Berent. Telefony do komendanta zwykle dotyczą bardzo ważnych spraw. Jeśli to sprawa służbowa, zgodnie z procedurą należy zgłosić ją do odpowiedniego naczelnika, a ten...

– Pani Franciszko – przerwał jej dosadnie. – Informacja, którą chcę przekazać komendantowi, dotyczy Bianki Kosteckiej. Proszę się z nim połączyć i to powiedzieć. Jestem pewien, że będzie chciał ze mną porozmawiać.

Po chwili namysłu kobieta odpowiedziała:

– Zobaczymy.

W głośniku rozbrzmiała wesoła, irytująca melodyjka, którą po kilku sekundach przerwał głęboki, dźwięczny baryton:

– Andrzej Drzewiecki.

– Komendancie, musimy jak najszybciej się spotkać.

– Słucham?

– Ja, pan, Marta Helczer...

– Stop, stop, stop. Co ty sobie, Berent, wyobrażasz? Dlaczego mieszasz się do sprawy Bianki Kosteckiej?

– Do niczego się nie mieszam. Można powiedzieć, że zostałem wmieszany.

– Nie rób ze mnie durnia. Chwilę temu z mojego gabinetu wyszedł przewodniczący Rady Miejskiej, Grzegorz Kostecki.

– Domyślam się, że nie był zadowolony z postępów w sprawie, a właściwie z ich braku?

– Czego ty właściwie chcesz?

– Dołączyć do zespołu.

Komendant zamilkł. W głośniku słycać było jego ciężki, świszczący oddech.

– Ale najpierw chcę, żeby komendant zorganizował odprawę, na której będę mógł wszystko wyjaśnić.

– Kiedy?

– Jak najszybciej. Proszę zebrać wszystkich ludzi. Ja przeprowadzę swoich.

– Swoich?

– Za pół godziny sala konferencyjna powinna być wolna – odpowiedział, ignorując uwagę komendanta. Ten westchnął ciężko i potwierdził spotkanie o pół do trzeciej.

Pod drzwiami sali konferencyjnej zrobiło się tłoczno w ciągu dziesięciu minut od zakończenia rozmowy. Nikt do końca nie wiedział, co takiego się wydarzyło, że komendant nagle podjął decyzję o zorganizowaniu odprawy. Wśród grupki policjantów rozmawiających półszepem dominował pogląd, że powodem jest brak postępów w sprawie. Jeden z nich z ponurą miną stwierdził, że jeśli nic wkrótce się nie zmieni, posypią się głowy. W końcu nad przebiegiem śledztwa czuwał sam przewodniczący Rady Miejskiej, a jak wiadomo, jego macki sięgają samej Warszawy.

Gdy w korytarzu pojawił się Tomasz Walkowiak, rozmowy ustały i zapanowała nienaturalna cisza. Nie zwróciwszy na to najmniejszej uwagi, przemknął do sali konferencyjnej, pozostawiając za sobą smugę drogich perfum. Jedna z policjantek westchnęła teatralnie, a reszta stojących przy niej osób wybuchnęła wesołym śmiechem. Mężczyźni marzyli, by być tacy jak on, a kobiety, by być z nim. Walkowiak sprawiał wrażenie, jakby właśnie wrócił z siłowni. Lekko zwilżone włosy zaczesał do tyłu. Koszula ze streczem eksponowała napięte bicepsy. Na zarumienionej twarzy połyskiwały kropelki potu.

Jan stał oparty o ścianę z rękoma skrzyżowanymi na piersi, gdy ten wszedł do środka. Ich spojrzenia spotkały się w locie na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by powietrze się naelektryzowało.

– Jest pan pewien, że moja obecność jest konieczna? – spytała Rita, z uwagą przyglądając się dziwacznej sytuacji. – Nie jestem przygotowana.

– Ja też.

– No to świetnie.

Jan wzruszył ramionami i odepchnął się od ściany. Gdy w drzwiach dostrzegł Martę Helczer, a za nią komendanta Drzewieckiego, wskazał Ricie krzesło obok Walkowiaka. Usiadła, a on zajął miejsce po prawej stronie. Choć mężczyźni nawet na siebie nie spojrzeli, czuła, że coś wisi w powietrzu, a ona została wykorzystana do rozdzielenia dwóch przyciągających się, lecz także nienawidzących biegunów.

Oblał ją rumieniec. Patrzyło na nią ponad dwadzieścia par oczu. Zabawne, bo jako reporterka wielokrotnie musiała iść na żywioł i nie będąc przygotowaną, występować przed kamerą ze świadomością, że patrzą na nią setki tysięcy widzów, a teraz truchlała ze strachu przed grupką policjantów.

Spojrzała na mężczyznę siedzącego po prawej. Nie oczekiwała zbyt wiele, tylko drobnego gestu, który by ją uspokoił. W końcu poprosił ją o przysługę, wcale nie musiała tu przychodzić. Niebiesko-szare, pozbawione życia oczy nawet na nią nie zerknęły, a wąskie, spierzchnięte usta, nie ułożyły się w najmniejszy uśmiech. Dyskretnie zerknęła na ślady poparzenia, które wylały się spod dekoltu T-shirtu i dalej, rozlewały niemal na połowę twarzy. Chrząknął, a ona spięła się w obawie, że wyczuł jej natrętnie spojrzenie.

Komendant wstał od stołu, podszedł do mównicy i po kilkakrotnym pstryknięciu w mikrofon, by upewnić się, że wszystko działa, jak należy, rozpoczął przemowę tak, jakby wcale nie była improwizacją.

– Szanowni państwo, wiem, że pracujecie w pocie czoła. Doceniam, że wielu z was skróciło swoje przedświąteczne urlopy, a są i tacy, którzy całkowicie z nich zrezygnowali. Będę z wami szczerzy. Dziś usłyszałem, że nie robimy żadnych postępów i powinniśmy poprosić o wsparcie komendę wojewódzką. – Przez salę przebiegł szmer. – Proszę o spokój. Zapewniam was, że się z tym nie zgadzam i nie zamierzam nikogo prosić o pomoc. Niektórzy nie wiedzą, jak przebiega praca policjantów, jak wiele potrzeba czasu na zbadanie wszystkich śladów, rozpoznanie środowiska ofiar, podejrzanych, że nie zawsze efekty widać od razu. Z tego miejsca chciałbym podziękować wam oraz Tomkowi za doskonałe zorganizowanie śledztwa.

Komendant skinął w stronę policjanta. Ten odpowiedział tym samym.

– W sprawie okaleczenia Bianki Kosteckiej i zabójstwa Andżeliki Richardson pojawiły się nowe... tropy. Chciałbym, abyśmy się z nimi zapoznali.

Andrzej Drzewiecki ponownie zajął swoje miejsce. Jan policzył do dziesięciu, po czym wstał i podszedł do mównicy.

Dopiero teraz Rita zdała sobie sprawę, że to nie ona wzbudzała takie zainteresowanie, ale ten policjant. Gdy tylko wstał, dostrzegła dziwne poruszenie. Ktoś z politowaniem pokręcił głową, ktoś szepnął coś osobie siedzącej obok, ktoś uśmiechnął się drwiąco.

Jan stanął w rozkroku, krzyżując ręce na piersi. To była zbyt lekceważąca postawa, wiedział, ale czy miała jakiegokolwiek znaczenie? Czy mowa ciała mogła zmienić to, jak go postrzegano?

Właściwie dziś to on był górą. Tomasz Walkowiak został zepchnięty na bok, wypadł z gry, bo nie wiedział tego, co on. Jan miał w ręku kartę przetargową, był panem informacji mogącej zmienić bieg całego śledztwa. Problem w tym, że mimo to wcale nie czuł się wygrany. Nie czuł się tak, bo

siedzące przed nim na biurowych krzeselkach granatowe koszule już dawno zadecydowały, kto jest liderem. Już dawno wydały osąd.

Spojrzał na naręczny zegarek Timexa z pękniętą szybką i właśnie w tej chwili drzwi otworzyły się, a do sali wszedł Bartek Janik, pomocnik Marty Helczer z laboratorium. Młody mężczyzna przerażonym wzrokiem omiótł salę i ze spuszczoną głową pokuśtykał w stronę Jana. Szefowa laboratorium nerwowo podrapała się po czole, ukrywając pod dłonią zażenowaną minę. Słyszała plotki, że technicy laboratoryjni w komendzie nazywani są szczurami. Rzadko wychodzili ze swojej nory, a kiedy już to robili, przemylkali spłoszeni, by tylko nie napotkać człowieka. Żywego, bo rzecz jasna, szczur lubi trupy. Dziś na własne oczy zobaczyła, jak wśród ludzi zachowuje się laboratoryjny szczur, i uwierzyła, że plotki mogą być prawdziwe.

Jan chwycił za drewniany stelaż i postawił lampę na kwadratowym stoliku przy mównicy, przygotowanym już wcześniej. Za jego plecami, na potężnym białym ekranie pojawiło się nagle zdjęcie uśmiechniętej od ucha do ucha Bianki Kosteckiej. Połyskujące brokatem blond loki, mocny makijaż i głęboki dekolt, świadczyły, że zrobiono je na jakiejś imprezie. W tle można było dostrzec rozmazane twarze ludzi i kolorowe, dyskotekowe światła stroboskopu.

– Lampę, którą widzicie, znaleziono wśród datków przekazanych przez parafian z kościoła świętego Jana dla bezdomnych. Nie wiemy, kim była osoba, która ją dostarczyła. Proboszcz parafii, Antoni Kolebko, rozpoznał w niej antyk, mogący być zarówno oryginałem, jak i bardzo dokładną kopią lampy z abażurem z ludzkiej skóry. Część z was na pewno o niej słyszała, część zapewne nie. Specjalistyczne badania DNA wykażą, czy rzeczywiście mamy do czynienia z ludzką, czy też ze zwierzęcą skórą, ale już teraz jesteśmy niemal pewni, że przynajmniej

niewielki fragment tego antyku rzeczywiście wykonano ze skóry człowieka. – W tym miejscu – wskazał palcem na wyblakły, niegdyś czarny znak, przypominający chińską literę – materiał wygląda na niedawno doszyty. Znajduje się na nim chiński napis oznaczający „niebo”. Dokładnie taki sam miała na skórze Bianka Kostecka. – Zerknął przez ramię i zdał sobie sprawę, że przysłania obraz wyświetlany na ekranie. Zrobił krok w bok i teraz oczom wszystkim ukazała się młoda, piękna dziewczyna o hollywoodzkim uśmiechu. Głowę miała lekko przechyloną na bok, długie złociste loki opadały na jedno ramię, odsłaniając prawą stronę smukłej szyi. Policjanci siedzący w sali konferencyjnej widzieli to zdjęcie już wcześniej i doskonale wiedzieli, że dokładnie taki znak znajdował się tuż pod uchem i linią zuchwy.

Jan omiółł salę wzorkiem. Czuł coś dziwnego blisko serca, jakieś przyjemne ciepło, które powoli ogarniało całe ciało. Po raz pierwszy od dawna nie czuł na sobie nienawistnych i szyderczych spojrzeń, lecz wzrok pełen uznania, a być może nawet podziwu.

– Aby móc podjąć jakiegokolwiek działania i wysnuwać pierwsze wnioski, za konieczne uważam zrozumienie symboliki przesłania.

Lekceważące prychnięcie, które wydostało się z ust Tomasza Walkowiaka, miało być prawdopodobnie słyszalne tylko dla niego, ale stało się inaczej. Głucha cisza z przyjemnością rozniosła dźwięk po sali. Gdy tylko policjant poczuł na sobie ciekawskie spojrzenia, uśmiechnął się szarmancko i powiedział:

– To wszystko jest bardzo interesujące, naprawdę. Powiedziałbym nawet, że takim scenariuszem zainteresowałyby się sam Spielberg czy Dan Brown. Proponuję jednak zejść na ziemię i zamiast wysnuwania daleko idących hipotez o symbolice i innych bzdurach, zaczniemy od mniej

spektakularnych i bardziej przyziemnych spraw. Dopóki nie sprawdzimy, czy skóra jest rzeczywiście...

– Oczywiście, dlatego teraz Marta Helczer zabierze lampę do laboratorium, aby rozpocząć badania. A my, aby nie marnować czasu, dowiemy się, czym jest lampa z abażurem z ludzkiej skóry.

– Przecież takie badania mogą trwać miesiącami!

– Tym bardziej nie traćmy czasu.

Szefowa laboratorium niepewnie uniosła się z krzesła. Dopiero gdy w oczach komendanta dostrzegła aprobatę, chwyciła lampę i opuściła salę. Gdy zamknęła za sobą drzwi, przy których czekał już na nią Bartek Janik, wypuściła powietrze. Nie miała pojęcia, że przemykając przed ciekawskimi spojrzeciami policjantów, całkowicie je wstrzymała. Rozbolą ją głowa.

– O tym, z czym możemy mieć do czynienia, opowie pani Rita Templer, historyczka, która napisała doktorat o przedmiotach wykonywanych ze skóry w okresie drugiej wojny światowej.

Rita pewnym krokiem podeszła do mównicy. Wyłączyła mikrofon. Miała donośny głos.

– Proszę się nie martwić, nie zamierzam zanudzać państwa historycznym wykładem – oznajmiła na początku, korzystając z dziennikarskiej wprawy. Odpowiedziały jej pełne ulgi westchnienia, więc szybko przeszła do rzeczy. – Centralną postacią tej historii jest kobieta o nazwisku Koch. Ilse Koch. Być może ktoś zna tę postać pod innymi przydomkami: komandorowa, suka czy też wiedźma z Buchenwaldu. Mając trzydzieści lat, poślubiła komendanta obozu SS w Buchenwaldzie, Karla Ottona Kocha. Długo mogłabym opowiadać o jej barwnym życiu, ale nie to jest teraz istotne. Otóż Ilse Koch w czterdziestym pierwszym roku została awansowana na główną nadzorczynię obozu kobiecego. O tym, jaką była strażniczką, społeczeństwo dowiedziało się

z zeznań świadków, już po zakończeniu wojny. I tu dochodzimy do sedna. – Rita zmrużyła oczy, by dokładniej zobaczyć twarze swej publiki. Byli skupieni i zainteresowani tym, co mówi. – Podczas procesu sądowego komendantki zeznano, że obsesyjnie interesowała się więźniami z ciekawymi tatużami. Podobno na jej zamówienie powstawały rękawiczki, torebki, oprawy książek i właśnie lampy z abażurami uszytymi z ludzkiej skóry. Stąd jej kolejny przydomek: Ilsa-Abażur.

Szeroko otwarte oczy, rozchylone usta. Historia robiła wrażenie. Rita Templer była w swoim żywiole.

– Niestety nigdy nie przedstawiono twardych dowodów na istnienie tych przedmiotów. Kilka lat temu znaleziono podobną lampę w USA. Badania trwały kilka lat. Wbrew pozorom sprawdzenie, czy mamy do czynienia z ludzką, czy zwierzęcą skórą, jest bardzo trudne. W przypadku lampy, która wędrowała z rąk do rąk przez lata, dochodzi do wymieszania się kodów genetycznych, powstania zakłóceń naniezionych poprzez dotyk. Dlatego też z początku amerykańscy badacze uznali skórę za ludzką, choć późniejsze, dokładniejsze analizy wykazały, że należała jednak do... krowy.

Ktoś chrząknął. Rita spojrzała na stół konferencyjny. Tomasz Walkowiak patrzył na nią z politowaniem.

– Co nie znaczy, że tak będzie w przypadku tej lampy. Zeznania świadków na procesie Ilse Koch nie wzięły się z powietrza – powiedziała i odeszła od mównicy.

Jan podziękował jej skinieniem głowy.

Walkowiak nachylił się ku komendantowi, chwilę szeptali coś między sobą, po czym podkomisarz wstał z krzesła.

Ugłodził opiętą na torsie koszulę i lekkim krokiem powędrował w stronę mównicy. Wyglądał na pewnego siebie.

– Pani Rito, chciałbym podziękować za tak wyczerpującą informację. To dla nas zaszczyt, że tak ceniona historyczka i reporterka wojenna zechciała odwiedzić skromne progi Komendy Powiatowej Policji w Stargardzie. – Posłał kobiecie

uśmiech, a Jan siedzący u jej boku zarejestrował wypieki na policzkach. – Jak wszyscy słyszeliśmy, stwierdzenie autentyczności lampy może trwać latami. Oczywiście ustalenie, czy na abażurze znajduje się skóra Bianki Kosteckiej, będzie znacznie łatwiejsze, dlatego w pierwszej kolejności skupimy się na zbadaniu właśnie tej części. Tymczasem wciąż pracujemy w dwóch niezależnych zespołach. Dopóki nie będziemy czegoś pewni, nie zmieniamy rytmu naszej pracy. Dziękuję. Wracajcie do siebie. Za dwie godziny chciałbym otrzymać kolejne raporty.

Jan z zainteresowaniem obserwował nagłe poruszenie w sali. Szuranie krzeseł, podekscytowanie, rozmowy i natychmiastowa gotowość do działania. To byli jego ludzie. Ludzie Tomasza Walkowiaka, przyszłego naczelnika wydziału kryminalnego.

Rita Templer, przygasająca gwiazda telewizji, dziś czuła się jak dawniej. Chwila sławy trwała jednak krótko, bo gdy tylko zakończyła się odprawa, komendant Andrzej Drzewiecki uściśnął jej dłoń, informując, że będą w kontakcie. Mężczyzna o hollywoodzkim uśmiechu, wychodząc z sali, musnął ją ramieniem. Gdy się odwrócił, by rzucić słowo „przepraszam”, dostrzegła w jego twarzy zdecydowane rozluźnienie. Szeroka, mocno zarysowana szczęka, sylwetka atlety, mocne, silne kroki. Samiec alfa. Urodzony zwycięzca.

– Miałyby pani jeszcze chwilę? – Usłyszała za plecami.

Mężczyzna z poparzoną twarzą patrzył na nią bladym, pozbawionym życia spojrzeniem, którego nie była w stanie rozszyfrować. Było w tym człowieku coś, co wywoływało w niej sztywnienie karku. I nie, nie chodziło o blizny, które po doświadczeniach w Afganistanie czy w Osetii Południowej przestały robić na niej wrażenie.

Oczywiście, że miała mnóstwo czasu. Jak to bywa w przypadku bezrobotnych.

– Trochę się spieszę – odpowiedziała automatycznie.